

## Bitwa pod Maddlethon — deathhascome

– Każda śmierć ma jakiś sens – mówię, a potem boleśnie szarpnię za jego włosy i tępym sztyletem rozcinam gardło. Syknęło obrzydliwie, a potem zabulgotało szybko. Słaby krzyk zastygł mu w gardle. Przecieram piach zmieszany z posoką z własnej twarzy. Bród wdarł mi się pod paznokcie, we włosy i między zęby. Jestem zmęczony, zdyszany. Tarczę już dawno porzuciłem, ciążyło mi to żelastwo. Teraz leży gdzieś tam, wśród zabarwionej krwią trawy.

Ja zaś maszeruję między poległymi. Idę, jakby samo życie, ważyło dwakroć tyle, co moje całe ciało. Mam zwieszane bezwładnie ręce i powłóczę nogami, potykając się co chwilę. Wszystko widzę przez jakiś mleczny nalot, jaki zawitał mi pod powiekami. To już koniec. Mógłbym odejść na bok i usiąść. Paść jak rażony piorunem i nie poruszyć się już nigdy więcej. Na to mam ochotę. Chciałbym zasnąć.

Szesnasty marca, roku pańskiego tysiąc sto dwanaście. Bitwa. Krwawa jatka pod Maddlethon. Dźwięk łamanych kości nadal dzwoni mi w uszach, a przed oczami mam rozwrzeszczane, zakrwawione twarze i wywrócone oczy straszące białkówkami. Masakra pod Maddlethon. Ja też w niej zabijałem. Wyrzucam zabrudzony sztylet, brzydzę się go. Brzęknął gdzieś, ale nie patrzę gdzie. Ja po prostu muszę iść przed siebie.

Kucam przy jednym z zabitych, to jeden z wrogów, Północny. Ma bladą jak papier twarz pokrytą bryzgami krwi, które wydają się być jeszcze ciepłe. Usta niczym krwawa dziura i nieobecne, przesiąknięte bólem spojrzenie. Wprost na moją twarz. Muchy wchodzą mu do gardła i nosa, odór przyprawia o mdłości. Spoglądam w górę, by dostrzec kilka wirujących nad moją głową, drapieżnych ptaków; a potem rozglądam się wokół i nie widzę nic, prócz śmierci. Leżące na sobie ciała ciągnące się aż po wzgórze i bojowe żelastwa powbijane w ziemię, zbroje, tarcze... w ciała. Śmierć ma dziś niezwykłą ucztę. Smacznego, suko.

Sam nie wiem, gdzie mógłbym postawić stopę, żeby kogoś nie nadepnąć. Tyle chociaż poszanowania się im wszystkim należy. Zaciskam kureczowo napierśnik, trochę nad tym nie panuję. Nie chce tego widzieć po raz kolejny, ale patrzę, mimo to. Zbroja tuż nad podbrzuszem jest rozplątana, czarna od krwi, która nadal sączy się z rany. Odrażający widok. To dziwne uczucie, gdy widzisz coś takiego u siebie. Przynajmniej jestem teraz otwarty na świat. Cholera, upiorny żart.

Jestem słaby jak niemowlę, ale idę. Nic nie jest w stanie mnie powalić. Muszę dotrzeć do lekarzy. Widzę ich z oddali. Kręcą się między jęczącą połacią rannych, błyszczący od potu, z naręczami opatrunków i tykwami lekarstw. Nie wyrabiają. Krzyczą na siebie poirytowani.

Patrzę pod nogi i dostrzegam jedną z setek twarzy. Mróz ścina mi skórę, staję osłupiały. Znam tę twarz. Gruss. Mój towarzysz od piwa i dziewczek. Mój przyjaciel, który zawsze miał dla mnie dobrą radę. Padam na kolana przed jego obliczem i z obrzydzeniem ściągam z niego czyjąś bezpalcą rękę.

Szarpnię go za włosy i ściskam mocno niebieskawą twarz pozbawioną emocji. Z ust ciągnie się strużka krwi. No obudź się, cholera! Nie odpowiada.

Przesuwam po jego zbroi umorusaną piachem dłoń i natrafiam na wbity w nią topór.

– Gruss! – wrzeszczę, a potem wrywam żelastwo z jego ciała i wyję przeraźliwie jak wilk. Podrywam się i chwytam topór w obie ręce, a potem ciskam nim w niebo.

– Oby wbiło się w twoją rzyć, suko! – berdysz pomknął w górę, a ja jedynie odprowadzam go wzrokiem. Gdy już wydaje mi się, że pocznie rozcinać chmury, ten koziołkuje po łuku i runie gdzieś w truchła jak zwykły, martwy kawał metalu. Płaczę i siadam boleśnie na czyjś brzuch. Czernieje mi przed oczami, przestaję czuć nogi. Zlewam się potem szybciej, niż dociera do mnie, że opadam z sił.

– Lekarza! Lekarza, do cholery! – wrzeszczę tak głośno, jak tylko potrafię, ale odpowiadają mi tylko drapieżne, toczące nade mną okręgi ptaki.

Drżącą dłonią muskam ranę. Krew sączy się nadal, a z każdym moim oddechem, wypływa jej więcej. Życiodajne powietrze, pomoże mi teraz umrzeć. Cudownie.

Szarpię jakąś włócznię i podciągam się na niej, patrząc w twarz Grussa, mojego przyjaciela. Kompana od piwa i dziewczek, który zawsze służył mi dobrą radą.

– Nie zasłużyłeś na takie skonanie, bracie – szepczę do niego, a potem ociężale zaczynam iść przed siebie, w stronę lekarzy. Nadal słyszę ich nerwowe wrzaski. Widzę, że na noszach przyniesiono im kogoś nowego. Cholera, zdążę. Przecieram pot z czoła, brudząc je ziemią i krwią.

– Lekarza! Lekarza, wy syny dziwki! – ktoś mnie usłyszał i wskazał na mnie palcem. Krzątania i przeraźliwe okrzyki cichną na długość jednego oddechu. W chwilę potem, któryś z nich porywa naręcze z opatrunkami i zaczyna biec w moim kierunku, patrząc, by się nie przewrócić o jakiegoś trupa.

Dobrze, już idzie, nie umrę. Wytrzymam.

Krwawa jatka pod Maddleton, spluwam na ziemię. Walczyłem w niej i zabijałem. Śmierć ma dziś niebiańską ucztę.

– Smacznego – chrypię, a potem zalewa mnie fala gorąca i ciemności. Włócznia wyslizguje się z mojego uścisku. – Smacznego, suko.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

---

deathhascome, dodano 18.06.2011 08:34

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).